

Piotr Jeżółkowski: Nazywam się Piotr Jeżółkowski. Urodziłem się 9 lipca 1972 roku w Nowym Dworze Mazowieckim. Jestem prawnukiem Wacława Jeżółkowskiego, więźnia i ofiary Fortu III w Pomiechówku.

Dorota Grzechocińska: Kim był Wacław Jeżółkowski? Jakim był człowiekiem? Jaka była jego rodzina?

Piotr Jeżółkowski: Wacław Jeżółkowski urodził się w 1905 roku w Królewie. To jest mała wioska w gminie Joniec w powiecie płońskim. Rodzice jego byli rolnikami, posiadali niewielkie gospodarstwo rolne. Wacław miał starszą od siebie o 8 lat siostrę Ewę. Wstępną edukację pradziadek mój uzyskał w szkole w Królewie. Była to szkoła, która miała bardzo długie tradycje, dlatego że ona powstała już w XVI wieku. Już w tym okresie są pierwsze informacje o tej szkole. Ona oczywiście zlikwidowana w połowie XIX wieku. Natomiast w roku 1915 została na nowo otwarta i od tego czasu mój pradziadek uczęszczał do tej szkoły. To rzecz dosyć ważna, że był pierwszym piśmiennym członkiem mojej rodziny. Zajmowałem się trochę badaniami genealogicznymi rodziny i wszyscy przed nim zawsze oświadczali we wszystkich metrykach kościelnych, że byli osobami, które nie potrafią czytać i pisać. On był pierwszym, który potrafił czytać i pisać. To też ważne, że w tym obwodzie płońskim w tym okresie mniej więcej 20% ludzi potrafiło czytać i pisać, więc panował dosyć duży analfabetyzm. Więc Wacław zaczął chodzić do tej szkoły. Potem przychodzi okres 1919 roku. Chyba czarny rok, tak mogę powiedzieć, w dziejach rodziny, dlatego że w 1919 roku podczas urodzenia dziecka umiera jego siostra Ewa i w tym samym okresie umiera również jego ojciec. Tak że dochodzi do takiej dosyć dramatycznej sytuacji, że jego matka zaczyna zajmować się, pełnić rolę matki w rzeczywistości dla swojej małej wnuczki, a on sam zostaje z matką jako kilkunastoletni chłopak. Wydaje mi się, że również w tym okresie zapada decyzja, że on będzie się dalej kształcił. W roku 1919 pojawił się również dekret Piłsudskiego dotyczący obowiązku szkolnego młodzieży, dzieci od 7 roku życia. Ten obowiązek szkolny w ramach obwodu warszawskiego, w ramach województwa warszawskiego miał obowiązywać od lat 2003-2004. Więc Wacław Jeżółkowski musiał przygotowywać się do roli przyszłego nauczyciela, a wiem to stąd, że posiadam zdjęcie z 1923 roku z marca, na którym jest napisane, że to... zbiorcze takie, na którym uwidoczniła jest grupa ludzi i jest to podpisane, że to pamiątka z ukończenia kursu metodyczno-pedagogicznego w Płocku. Więc ewidentnie był przygotowany do tego, żeby pełnić rolę nauczyciela. Był bardzo młody i tym też uzasadniam sobie to i tym obowiązkiem szkolnym, który trzeba było wprowadzić i tą małą ilością ludzi przygotowanych do tego, żeby wypełnić funkcję nauczyciela. A tym sobie wyjaśniam to, że tak był młody, a już skończył ten kurs, po którym został skierowany do de facto tworzenia szkoły. Dlatego, bo po tym kursie on trafia do małej wioski, znowu Karolinowo, koło Nowego Miasta, też w powiecie płońskim. I tam staje się jedynym

nauczycielem w nowoutworzonej szkole. Zresztą trudno w ogóle mówić o nowoutworzonej szkole. Był to po prostu wynajęty jakiś budynek od jednego z mieszkańców, w którym była jednoklasowa szkoła, w którym uczyło się kilkanaście dzieci. Więc on od 1924 roku, od początku tej szkoły, aż... wyprzedzając trochę fakty, aż do 1938 roku był jedynym nauczycielem i de facto tworzył tę szkołę i niósł tę edukację tym małym dzieciom. Zresztą z tą nauką w tej szkole, rozmawiałem z dziećmi, jeszcze żyją te osoby, które uczył mój pradziadek w tym okresie. I jedna z tych osób powiedziała mi, że miał taką zasadę. Był dosyć surowym, wymagającym nauczycielem, ale był sprawiedliwy. We wspomnieniach tych dzieci pojawia się pan nauczyciel jako ktoś, kogo darzyli dużym autorytetem, ale nie bali się go. Wspominali, że miał taką zasadę, że jeżeli w izbie jest tak zimno, że woda we wiadrze zamarza, to on wtedy odwołuje lekcje. I te dzieci zdarzało się, że specjalnie wystawiały to wiadro przed budynek po to, że jak nauczyciel przychodził, to szybko wstawiały do środka i po to, żeby pokazać, że właśnie woda zamarzała w środku w izbie, w związku z tym lekcje się nie powinny odbywać, ale rzadko dawał się na to nabrać, na taką sztuczkę, natomiast próbowali. W Karolinowie w 1924 roku angażuje się w działalność społeczną. We wsi miało miejsce dosyć takie ważne zdarzenie, bo podczas odpustu, który odbywał się w Nowym Mieście, nieopodal Karolinowa, to w czasie tego odpustu znaczna ilość gospodarstw spłonęła w pożarze. Mówi się o tym w jednych przekazach, że to było 17 gospodarstw, w innych, że to było 13 gospodarstw. W każdym razie ci ludzie padli ofiarą tego żywiołu. Mój pradziadek stał na czele grupy, która stworzyła pierwszą straż ogniową. Nawet mam zdjęcie, które po kilku latach wykonano, tej grupy, tej straży ogniowej, która już od tego momentu działała w Karolinowie, zbudowana została remiza, więc włączył się w taką działalność również społeczną. Poznał swoją przyszłą żonę, Czesławę Chojnicką. Ona pochodziła z takiej wielodzietnej rodziny mieszkającej w Karolinowie, mieli dosyć duże gospodarstwo. On oczywiście nie zajmował się pracą na roli, on wyłącznie pełnił funkcję nauczyciela. Natomiast dość szybko pobrali się i w 1925 roku urodził się ich pierwszy syn, Zbysław, który zmarł po 7 miesiącach. A w 1927 roku przyszedł na świat pierwszy syn, mój dziadek - Jerzy, a w 1930 roku jego brat - Zenon. Pradziadek był nauczycielem nieprzerwanie do 1938 roku. Wtedy musiał pójść na... mówi się o rocznym urlopie dla podratowania zdrowia, bo zachorował na płuca. Jeden ze świadków, z którym rozmawiałem i członek rodziny opowiadał mi, że to był wyjazd najprawdopodobniej do Zakopanego, ale nie mam potwierdzonej tej informacji. W tym okresie w szkole zastępowała go jedna nauczycielka, która też zginęła w czasie wojny.

Dorota Grzechocińska: Jest jeszcze taki wątek, że tata, czyli pradziadek, uczył swoich synów.

Piotr Jeżółkowski: Tak.

Dorota Grzechocińska: Jakim był nauczycielem dla swoich synów?

Piotr Jeżółkowski: Tak, ja nawet... jednym z uczniów uwiecznionych nawet na jednym ze zdjęć z lat 30. jest mój dziadek, Jerzy. Natomiast obaj synowie byli uczniami mojego pradziadka. Zawsze z pewnym uśmiechem mówię na temat tego, że dziadek był uczniem swojego ojca, dlatego, bo zachowały się świadectwa szkolne z tego okresu. Świadectwa szkolne mojego dziadka. I w tych świadectwach szkolnych u dziadka przeważają trójki i czwórki. Więc widać z tego, że ojciec go oceniał surowo, myślę, że sprawiedliwie tak samo jak oceniał wszystkie inne dzieci, nie biorąc pod uwagę tego, że to jest jego syn. A już rzecz najbardziej charakterystyczna, która zawsze trochę mnie rozczuła, jest to, że w świadectwie wpisał swojemu synowi dwie godziny nieobecności nieusprawiedliwionej w szkole. Więc można sobie wyobrazić sytuację ojca, który jest jedynym nauczycielem, jedynym dyrektorem, jedyną osobą, która pełni wszelkie funkcje administracyjne, ma przed sobą swojego własnego syna i wpisuje mu uczciwie, tak jak to było zgodne z rzeczywistością, że dwie godziny w ciągu roku szkolnego były nieusprawiedliwione. Więc zawsze mnie to trochę wzrusza, trochę powoduje pewien uśmiech, ale moim zdaniem jest to takie dosyć duże świadectwo tego, jakim był człowiekiem. Po prostu taki uczciwy i fair od początku, i w stosunku do wszystkich, bezkompromisowo. Tuż przed wybuchem II wojny światowej mój pradziadek wrócił do Karolinowa z tego urlopu, który dla podratowania zdrowia musiał wziąć. Pierwszą taką informację, dość charakterystyczną, którą uzyskałem od świadków pierwszych dni wojny było to, że przez radio w tych okolicach, czy przez radiowęzeł nadawana była informacja, że wszyscy mężczyźni powinni natychmiast uciekać. Dlatego, że zbliża się armia niemiecka, która morduje wszystkich mężczyzn i chłopców. Mój pradziadek, on bardzo lubił jeździć na rowerze, zresztą to zostało również u jego syna, mojego dziadka, który również na tym samym rowerze jeszcze jeździł po wojnie. On bardzo lubił jeździć na tym rowerze, on jeździł na tym rowerze od gospodarstwa do gospodarstwa i wszystkich mężczyzn prosił o to, żeby nie opuszczali swoich domów, dlatego, bo nie mogą zostawić na poniewierkę swoich żon i dzieci. A ponieważ cieszył się dosyć dużym autorytetem, ludzie mu ufali, więc nikt ze wsi, pomimo tych apeli, które były rozgłaszane o konieczności natychmiastowej ucieczki, nikt nie uciekł. Wszyscy zostali. I od razu mój pradziadek od początku wojny, od 1940 roku wraca do nauczania i zaczyna prowadzić tajne komplety we wsi. Prowadzi to w domu, w którym mieszkał. Tam jest zrobiona w tym domu dosyć specyficzna konstrukcja, to znaczy główna izba oddzielona była od drugiej części tej izby szafą. I żeby do tej drugiej izby się dostać, trzeba było przejść przez szafę. Ona była w ten sposób ukryta. Więc ten dom mojego pradziadka był wykorzystywany właśnie po to, żeby można było tam w miarę bezpiecznie organizować nauczanie dzieci. A tych dzieci było kilkanaście, więc to nie była mała grupa. To były dzieci i z Karolinowa, i z sąsiednich wiosek, które przychodziły na te tajne komplety. W tym samym gospodarstwie mieszkał również jego szwagier, Józef Chojnacki, który był sołtysem. On był sołtysem i przed wojną, i w

czasie wojny, i po wojnie. Więc biorąc pod uwagę to, że ten dom był specjalnie skonstruowany z tą szafą, przez którą można było się przedostać do drugiej części i biorąc pod uwagę to, że w tym samym obejściu mieszkał również sołtys, to ten dom był wykorzystywany właśnie dla potrzeb tych tajnych kompletów. Jedno dziecko zawsze stało na czatach, dlatego że posadowiona była stodoła w taki sposób, że z niej można było patrzeć na drogę, która prowadziła do tego domu. Więc jedno dziecko zawsze było w stodole i obserwowało, czy się nie zbliżają Niemcy, żeby w razie potrzeby ostrzec wszystkich innych o tym, że oni się zbliżają. Wracając do tajnego nauczania, jednocześnie rozpoczął swoją działalność w Armii Krajowej. Już na początku 1940 roku złożył przysięgę na wierność organizacji przed Wacławem Gorzkowskim, który był szefem placówki Armii Krajowej w Nowym Mieście. Zgodnie z zeznaniami, do których dotarłem, celem tej organizacji akurat w Nowym Mieście było zebranie wokół niej przede wszystkim osób, które byłyby w stanie pełnić funkcje kierownicze w ramach ewentualnego powstania, które mogłyby wybuchnąć. Dlatego wtajemniczeni w konspirację był aptekarz, lekarz, nauczyciel, pracownik urzędu gminy i oni organizowali te struktury lokalnie. Mój pradziadek przybrał pseudonim "Wędrowiec" i był szefem referatu, czy też wydziału wywiadowczego drugiego w Armii Krajowej. Mój dziadek wspominał, chociaż rzadko wracał do czasów wojennych, ale wspominał jak w wydrążonym specjalnie w obcasie buta, w takim zagłębieniu przenosił tajne meldunki pomiędzy Karolinowem, Nowym Miastem, Kołozębem, miejscowościami, które są okoliczne. On oczywiście wtedy jako kilkunastoletni chłopak nie wiedział, co dokładnie przenosi. Zawsze mówił, że dużo rzeczy musi przenieść do aptekarza. Pan Perliński był aptekarzem w Nowym Mieście, ale on wtedy przenosił właśnie tajne meldunki. Drugi syn z kolei, Zenon, wspominał później, że zdarzyło mu się przenosić w plecaku radiostację pomiędzy okolicznymi miejscowościami. Natomiast ta działalność konspiracyjna, jej kres przyszedł z końcem 1942 roku, kiedy rozpoczęły się masowe aresztowania członków Armii Krajowej w Nowym Mieście. Zresztą nie tylko w Nowym Mieście, bo ta akcja wtedy objęła dużą część północnego Mazowsza. I 25 lutego 1943 roku wieczorem do domu mojego pradziadka przyjechało gestapo. Weszli do domu, w tym czasie w domu znajdował się mój pradziadek, rodzina, bo to był normalny wieczorny dzień. Znajdowało się dwóch kolegów, pan Bucholc i pan Mychliński, z którym grał w karty. Nawet dowiedziałem się, że to był preferans, w którego wtedy grano. Jak wkroczyło gestapo, w domu byli domownicy, więc były dzieci, byli dorośli, byli ci koledzy, z którymi grał w karty. Gestapo rozkazało wszystkim stanąć twarzami do ściany i nie odwracać się pod żadnym pozorem. Jemu kazano szybko zebrać swoje rzeczy, bo będzie aresztowany. W tym czasie w ostatniej chwili udało się schować skrzynię z pomocami naukowymi, którą miał w tym pomieszczeniu, do którego wkroczyło gestapo. Bo taka skrzynia po prostu istniała i on miał tam swoje skarby, które służyły mu w nauczaniu dzieci. Dosłownie w ostatniej chwili jedna z osób po prostu nogą

wsunęła pod łóżko i gestapowcy nie zorientowali się, że tam są rzeczy służące nauce dzieci. Po kilku minutach w czasie tego aresztowania wyprowadzono go na zewnątrz i ten jeden z kolegów, pan Mychliński, mimo wszystko odwrócił się, żeby zobaczyć go w ostatniej chwili, jak wychodził. I został potwornie uderzony jakąś pałką ostro zakończoną w głowę przez jednego z tych gestapowców. I spowodowało, że oderwał mu się znaczny płat skóry głowy wtedy po tym uderzeniu. I dzieci, które wtedy były w pomieszczeniu, zapamiętały to jako fakt natychmiastowego osiwienia pana Mychlińskiego. Ale w rzeczywistości on nie osiwił, jemu po prostu na skutek otrzymanego uderzenia tak duży płat skóry się od głowy oderwał, że sprawił wrażenie, jakby on gwałtownie osiwił. Jeszcze jak wychodził w ostatniej chwili, moja prababcia założyła mu czapkę na głowę, bo on zawsze chodził w takiej charakterystycznej czapeczce, więc wsunęła mu szybko tę czapkę na głowę. Zabrano go w niewiadomym wtedy kierunku i już nigdy go nikt nie zobaczył.

Dorota Grzechocińska: Na kartce z kalendarza została adnotacja.

Piotr Jeżółkowski: Mój dziadek miał taki zwyczaj zrywania kartek z kalendarza i zapisywania na nich jakichś istotnych wydarzeń, które miały miejsce w jego życiu. Zachowała się do dziś kartka z 25 lutego 1943 roku z odręcznym napisem zrobionym przez mojego dziadka: "Aresztowanie tatusia". Zresztą kartek tych zachowało się kilka z kolejnych dni, z marca, gdzie zapisywał nazwiska kolejnych osób z Armii Krajowej, które albo były aresztowane, albo były uwalniane przez gestapo, więc te kartki aż trzy się zachowały. To zabawne, ale mam nawet kartkę z dnia mojego urodzenia, kartkę z dnia urodzenia mojej siostry, ślubu moich rodziców. Po prostu dziadek miał taki zwyczaj, że na tych kartkach zrywanych, takich pojedynczych karteczkach zapisywał najważniejsze informacje. Dziadek był już kilkunastoletnim chłopakiem, bo aresztowanie było w 1943 roku, on się urodził w 1927 i on potem we wspomnieniach, do których dotarłem, mówił, że to aresztowanie ojca spowodowało, że on jeszcze bardziej zaangażował się tak osobiście w te działania podziemne, na tyle, na ile młody chłopak mógł się w to zaangażować. Natomiast opisywał gdzieś, że nawet brał udział w jakimś ataku na młyn z bronią w ręku, więc widać, że w nim złość związana z tą sytuacją, która miała miejsce, eksplodowała sprzeciwem, który realizował w postaci takiej walki, którą mógł podjąć w sobie znany i możliwy dla niego sposób. Natomiast jego młodszy brat strasznie przeżył aresztowanie ojca. Jedna z pań, z którymi się spotkałem, opowiadała mi, jak chodził po wsi i ciągle opowiadał, że: "Aresztowano mi tatusia". Ja nigdy tak naprawdę z bratem mojego dziadka, z Zenonem, nie porozmawiałem o jego ojcu, dlatego że on był osobą chorą na serce dosyć poważnie i on miał zabronione, to schorzenie było na tyle poważne, że miał zabronione, żeby się wzruszać. Jego żona bardzo dbała o to, żeby oszczędzać mu różnego rodzaju takich bolesnych

wspomnień, a kiedykolwiek ja przy jakichkolwiek uroczystościach rodzinnych wspominałem coś, a rzadko takie uroczystości rodzinne akurat w takim gronie, że byłbym i ja, i wujek Zenek, żeśmy mieli, więc kiedykolwiek tylko wspominałem coś na temat jego ojca, natychmiast zaczynał płakać. Nigdy nie dało się z nim tak naprawdę na ten temat porozmawiać. Wiele rzeczy by się chciało dowiedzieć na temat tych wszystkich okoliczności, ale w tej chwili to w znacznej części to już są zeznania innych osób, bo zarówno mój dziadek, jak i jego brat nie żyją.

Dorota Grzechocińska: Czy dziadek mógł się ukrywać przed aresztowaniem?

Piotr Jeżółkowski: Na początku 1943 roku w sytuacji, w której pierwsze aresztowania w szeregach Armii Krajowej już miały miejsce, mój pradziadek dostał propozycję, żeby uciec. Miał jednego z kolegów, który pracował w III Rzeszy, zaproponował mu ucieczkę. Powiedział, miał miejsce rozmowa, "Widzisz co się dzieje, być może to kwestia czasu, kiedy kolejne będą aresztowania, jedź ze mną, uciekaj". Ale on odmówił, on nie chciał zostawić żony i synów, i został w konsekwencji, doszło do tego aresztowania w 1943 roku. Już po jego aresztowaniu oczywiście padł strach na osoby, z którymi on współpracował, dlatego że on we wsi miał jednego przyjaciela, Franciszka Poprawę, z którym... to po latach dopiero się okazało, po prostu prowadził działania konspiracyjne, spotykał się, siedział na ławeczce i pani Jadwiga Szkutnik, córka Franciszka Poprawy, opowiadała mi, jak oni zawsze przed domem pana Franciszka siadali. Mój pradziadek w takiej bardzo charakterystycznej pozycji, on zawsze zakładał nogę na nogę, krzyżował ręce, zresztą na zdjęciach, które się zachowały, chyba na wszystkich właśnie, tak właśnie siedzi, że on zawsze siadał w takiej pozycji, obok niego siadał jego przyjaciel, który mówił "Franuś" i oni bardzo długo o różnych rzeczach rozmawiali. Pani Jadwiga oczywiście nie wiedziała o czym rozmawiali, dopiero na łożu śmierci jej ojciec wyznał, i przyznał, że to były rozmowy dotyczące spraw konspiracyjnych, dlatego że razem z moim pradziadkiem byli w Armii Krajowej. Drugą osobą, z którą współpracował był pan Leon Skórczyński i ci dwaj panowie, Franciszek Poprawa i Leon Skórczyński, bali się, że mój pradziadek wytrzyma przesłuchania i tortury, którym wiadomo, że będzie poddany. I oni uciekli na kilka dni, nawet z domu, ukrywali się w lesie, tak jakby oczekując, że jeżeli coś złego się wydarzy, to się to wydarzy w ciągu najbliższych dni. Ale nic się nie wydarzyło i mogli wrócić do domu. I pan Karol Skórczyński, syn Leona, powiedział, że jego ojciec opowiadał mu jak doszło do zaprzysiężenia ich do Armii Krajowej. Mój pradziadek przygotował stół, który przykryto białym obrusem, postawiono krucyfiks i on poprosił, żeby oni obaj uklękli i na kolanach składali przysięgę. Mój pradziadek też to zrobił, to znaczy ukląkł i przysięgł im, że ich nigdy nie zdradzi. No i przysięgi dotrzymał. Pan Karol Skórczyński opowiadał mi, że w ramach tych działań konspiracyjnych, które podejmował jego ojciec razem z moim pradziadkiem, on przychodził

czasem do domu mojego pradziadka po to, żeby odebrać jakieś karteczki, które przekazywał swojemu ojcu. I potem... to oczywiście tego wszystkiego dowiedział się już po wojnie od swojego ojca. Z tymi karteczkami oni potem jeździli wozem do Nasielska, z tymi meldunkami, jeździli wozem do Nasielska, gdzie przekazywali to w umówiony sposób osobom, które stawiały się na targu po to, żeby je odebrać. Zawsze trzeba było powiedzieć jakieś hasło albo ktoś musiał się zwrócić z określoną prośbą. Wspomina, że raz miał się ktoś zapytać o chleb razowy, na co miała paść odpowiedź, że jest w toczku. Wtedy ten ktoś miał wziąć ten toczek, a w tym toczku była ukryta karteczka i tak się stało. Innym razem ktoś miał zapytać o siano, a on miał powiedzieć, że ma, ale tylko do kołyski. I wtedy to siano do tej kołyski trzeba było razem z ukrytą w środku karteczką zabrać i tam były ukryte napisy, które podobno wyglądały nie jak normalne słowa, nie jak normalne wyrazy, tylko jak jakiś szyfr. Nie wiem na ile to dziecko mogło pamiętać, ale tak w świadomości zostało, że to były jakieś szyfry. Do tego kolegi, Franciszka Poprawy, zawsze mawiał "trzymaj się Franuś" na końcu jak się rozstawali. Pani Jadwiga, córka Franciszka Poprawy, która była córką chrzestną, o czym się niedawno dopiero dowiedziałem, córką chrzestną mojego pradziadka, ona powiedziała, że pamięta właśnie ostatnie spotkanie z moim pradziadkiem, jak wstali z ławeczki, położył rękę na ramieniu swojego przyjaciela i powiedział jak zawsze: "trzymaj się Franuś". No i to taki ostatni moment, kiedy się widzieli. Pytałem też o to, jakim był człowiekiem w stosunku do swojej żony, w stosunku do swoich dzieci. Pani Jadwiga i wszyscy inni członkowie rodziny opowiadali, że zawsze zwracał się do swojej żony "Czesiuniu", a ona do niego mówiła "Waceniu". Pamiętają takie zdarzenie, jak wyciągana przez niego chusteczka, którą wycierał jej czoło, jak była spocona, czy też jej troskę o to, żeby on zawsze tę czapkę... Ja potem dopiero zrozumiałem, kiedy się dowiedziałem o tym, że był chory na płuca, dlaczego ona tak zawsze dbała, żeby on miał płaszcz taki z dużymi klapami, długi, żeby w nim chodził i tę czapkę, to było związane z jego zdrowiem. Więc on zawsze się z wielkim szacunkiem odnosił do swojej żony. Wszyscy pamiętają ich jako takie szczęśliwe, dobre małżeństwo. Zresztą moja prababcia nigdy, już po stracie męża, już nigdy drugi raz nie wyszła za mąż i została ze swoim synem Zenonem już do śmierci sama. Dziś wiem mniej więcej w jakich okolicznościach doszło do aresztowania mojego pradziadka, aczkolwiek zdaję sobie sprawę z tego, że ta wiedza jest wiedzą jeszcze wybiórczą. To jest wiedza, którą mam na podstawie jakichś dokumentów, do których udało się dotrzeć, dokumentów gestapo i relacji, która zawarta jest w książkach dotyczących konspiracji płońskiej, konspiracji na tym terenie, na którym działał mój pradziadek. I daleki jestem od jakichkolwiek ocen ani od mówienia, kto jest czemu winien, natomiast wydaje mi się, że powinienem przytoczyć przynajmniej te fakty, o których wiem. To postępowanie, w ramach którego został aresztowany mój pradziadek, była to duża akcja gestapo, którą prowadziło na północnym Mazowszu, w ramach którego ostatecznie aresztowano 113

akowców i było łącznie przeciwko nim prowadzone jedno postępowanie. Ono nosiło nazwę "Przeciwko Brzozowskiemu i innym". Najprawdopodobniej jedną z przyczyn tej dekonspiracji, do której doszło, było przechwycenie meldunku nieszyfrowanego od jednego z akowców, którą wysyłał do pana Wacława Gorzkowskiego. Mówi się o tym, że to był pan Czapla, który po prostu przenosił tego rodzaju nieszyfrowany meldunek, został pochwycony przez Niemców i po tym nieszyfrowanym meldunku oni szybko dotarli do pana Gorzkowskiego. Pan Wacław Gorzkowski został aresztowany jeszcze w grudniu 1942 roku. Ja widziałem akta gestapo, których kopie otrzymałem z Instytutu Pamięci Narodowej, w którym w czasie przesłuchania wymienia on wszystkich członków Armii Krajowej z Nowego Miasta, w tym wymienia mojego pradziadka, opisując rolę każdej z tych osób i opisując też sposób, w jaki trafili do Armii Krajowej, opowiedział o tym, że to on właśnie obejmował. Z tych akt wynika, że to właśnie Wacław Gorzkowski odbierał przysięgę od mojego pradziadka i on zajmował się od podstaw organizacją struktury Armii Krajowej na terenie Nowego Miasta. To musiał stać za tym jakiś dramat, za tymi zeznaniami, dlatego że te zeznania, do których ja dotarłem, rozpoczynają się od stwierdzenia „po przeprowadzeniu konfrontacji z panem Perlińskim, chciałem odwołać swoje wcześniejsze zeznania i chciałem powiedzieć, co następuje”. I dopiero wtedy padają nazwiska wszystkich członków Armii Krajowej, w tym mojego pradziadka. Myślę, że on na początku nie zdradził nikogo w czasie tych pierwszych zeznań. Dopiero po konfrontacji zdecydował się na zmianę swojego stanowiska. Dlaczego? Tego nie wiem, natomiast znam też sytuację faktyczną, w jakiej on stał. To znaczy, gestapo aresztowało jednego dnia jego i jego małżonkę. Zostawili kilkuletnie dzieci w domu, bez niczyjej opieki. Jego żona, która przeżyła wojnę, kolejne obozy koncentracyjne, była zresztą później jeszcze nauczycielką w Nowym Mieście. Ona we wspomnieniach mówiła później, że przez cały okres, kiedy była w obozach koncentracyjnych, miała w głowie krzyk swoich dzieci: "Mamo, nie zostawiaj nas!". Więc mogę sobie wyobrazić, w jakich okolicznościach i w jakim stanie psychicznym znajdował się Wacław Gorzkowski w sytuacji, w której aresztowano jego i jego żonę. On nie miał pojęcia, co się dzieje z jego rodziną i z jego dziećmi. Zresztą w ogóle uważam, że wszystkie tego rodzaju zeznania, również takie, które ja uzyskałem, powinny być odczytywane w pewnym kontekście. To znaczy niesprawiedliwe jest czytanie ich wprost. To, co jest tam napisane, zostało powiedziane w pewnych okolicznościach, w pewnej specyficznej sytuacji. I bez wyjaśnienia całej specyficznej sytuacji nie można jednoznacznie stwierdzić, nie można jednoznacznie ich oceniać. Nie można jednoznacznie stwierdzić, kto był czemu winien, czy zdradził, czy nie zdradził. Daleki jestem szczególnie od używania tego rodzaju słów. Po prostu wiem, że w czasie zeznań wymienił imię i nazwisko mojego pradziadka, wskazując jego pseudonim, wskazując jego funkcję i wskazując okoliczności, w jakich wstąpił do Armii Krajowej.

Dorota Grzechocińska: Jakie były losy pana Gorzkowskiego?

Piotr Jeżółkowski: Pan Gorzkowski trafił również do Fortu III w Pomiechówku razem z moim pradziadkiem i razem z nim został zamordowany 31 maja 1943 roku. Nawet te wspomnienia jednej z pań, z którymi rozmawiałem na temat, już nie chcę mówić o wspomnieniach pań na temat pań, ale zachowały się wspomnienia dotyczące pobytu właśnie pana Gorzkowskiego w Forcie III i on któregoś dnia zapytany, co z nim będzie, gestem wykonał znak krzyża, dając znać, że nie ma dla niego ratunku. Więc myślę, że przebył tę samą drogę, którą przebył mój pradziadek, dlatego że mój pradziadek, bo wiem, że był aresztowany 25 lutego, potem nie wiemy dokładnie, ja nie wiem i z dokumentów, którymi dysponuję, na razie nie wynika, co się z nim działo później. Wiem, że 24 marca 1943 roku trafił do obozu w Działdowie. Pomiedzy 25 lutego a 24 marca nie wiem, gdzie przebywał. Być może przebywał w Płońsku w więzieniu, być może przebywał w Nowym Dworze, być może w Forcie. Kiedyś się tego dowiem. Ale wiem, że 24 marca 1943 roku trafił do Działdowa. Trafił do Działdowa razem z całą grupą 42 akowców, w stosunku do których prowadzone było śledztwo. To śledztwo przeciwko 113. zostało podzielone tak jakby na dwa nurty. 42 z nich skierowano do Działdowa, potem przywieziono ich do Fortu III w Pomiechówku, pozostałych skierowano do obozów koncentracyjnych. Więc ta grupa 42 więźniów w Działdowie była dość charakterystyczna. Inni więźniowie wspominają, że oni byli szczególnie okrutnie traktowani, oni byli uważani za więźniów politycznych, więc o ile w Działdowie była możliwość chociażby poruszania się pomiędzy celami tego obozu, który tam się znajdował, więźniów politycznych, w tym tych 42., nigdzie nie wypuszczano. Oni mogli wychodzić tylko trzy razy dziennie z cel, na gimnastykę, na jedzenie i po to, żeby się załatwić. Przy czym za każdą z tych czynności stoi drugie dno. To znaczy więźniowie opowiadali, że to jedzenie tych więźniów politycznych polegało między innymi na tym, że musieli podejść do stołu, nalewano im gorącą zupę, kazali brać ją w zęby, po czym musieli biec do ławy, to co tam zostało, bici przez ten czas, to co zostało w talerzu, mogli sobie zjeść. Wiadomo, że prawie nic nie zostało, a tym co tam było, byli poparzeni. A jeśli chodzi o owe ćwiczenia, to raczej okrutne tortury niż ćwiczenia. Im kazano się na przykład kręcić bardzo długo w kółko, potem robić jakieś pompki, fizyczne, ciężkie ćwiczenie polegające na podnoszeniu czegoś i znowu kręcenie w kółko. Prześcigali się gestapowcy w tym, żeby jak najbardziej wyrafinowane formuły tego cierpienia im tam zadać. Pod koniec maja 1943 roku ta grupa zostaje wysłana z obozu w Działdowie do Pomiechówka. Wiem na pewno, że 31 maja już tutaj w Pomiechówku byli, dlatego że tego dnia odbył się sąd, raczej można by powiedzieć, że ogłoszono wyroki śmierci, trudno to nazwać sądem, ani jakimkolwiek postępowaniem, po czym tego dnia ich wszystkich 42 powieszono na górcie za koszarami. Dobrano dodatkowo jeszcze sześciu innych więźniów, którzy byli w Forcie, bo tego dnia powieszono 48 Polaków. I z tego dnia, kiedy doszło do tej egzekucji, zachowały się

wspomnienia więźniów, które sobie zapisałem i myślę, że najlepiej będzie, jak przeczytam, jeśli mi się uda.

N1352_kr_FIANL_2_2_1

Piotr Jeżółkowski: Ja dotarłem do relacji świadków, którzy 31 maja 1943 roku byli w obozie, w Forcie, którzy opisali dzień i chwilę egzekucji mojego pradziadka. Chciałbym przeczytać te fragmenty. Aleksander Suwiński wspominał: "W dniu 31 maja 1943 roku, pamiętam dokładnie tę datę, po śniadaniu zauważyliśmy poruszenie wśród wachmanów. Popędzali oni więźniów do cel i pozamykali drzwi cel. W mojej celi jeden z więźniów po plecach drugiego dostał się do okienka nad drzwiami i wypatrywał, co się będzie działo na dziedzińcu. W pewnym momencie usłyszeliśmy, jak wjeżdżają na dziedziniec samochody. Więzień obserwujący zakomunikował nam, że przyjechały trzy samochody, łaziki, z których wyszło około 10-12 gestapowców. Wkrótce później, ja i inni więźniowie z mojej celi usłyszeliśmy wyczytywanie przez wachmanów szeregu nazwisk więźniów. Następnie słyszeliśmy wychodzenie więźniów z cel, w których wyczytywani się znajdowali. Krzyki Niemców "Los, los!" oraz tupot nóg po dziedzińcu, którego odgłosy wskazywały, że wyczytani więźniowie idą w kierunku wejścia na zaplecze Fortu, na tak zwaną górkę. Nasze spostrzeżenia słuchowe potwierdził więzień wyglądający okienkiem, informujący nas, że więźniów popędzono na górkę partiami. Przekazał on nam również, że na górkę poszła grupa gestapowców i grupa wachmanów. Tego samego jeszcze dnia z więźniów zabranych z mojej celi powrócił do tej celi więzień Ryziński. Był on w stanie kompletnego szoku nerwowego. Następnego dnia, kiedy odzyskał on nieco równowagę, opowiadał nam, że w dniu poprzednim widział na górze powieszenie na szubienicach 48 więźniów". Podobno lina się zerwała pod Zygmuntem Ryzińskim, bo on też stał na tej szubienicy. I ponieważ ona się zerwała, wachmani, gestapowcy pozwolili mu odejść. On zanim jeszcze wrócił do celi, siedział pod płótem, kompletnie zrujnowany psychicznie i przez wiele dni jeszcze nie doszedł do siebie. Potem został zamordowany w Majdanku, ale na podstawie przede wszystkim jego relacji wiemy, że tam się odbyła ta egzekucja. Ale dotarłem do zeznań jeszcze jednej osoby, pana Stanisława Witaszka, który widział tę egzekucję z drugiej strony. Też chciałbym ten fragment odczytać. "Otóż widziałem, jak na placyk koło szubienicy przyszła duża grupa oficerów gestapo i komendant więzienia. Spostrzegłem również przyprowadzonych koło szubienic więźniów. Co dalej się działo, już nie widziałem, gdyż widoczność zastonił nam wachman. Po pewnym czasie wachman wyprowadził nas z bunkra na placyk. Poleciał on nam, żebyśmy odcięli linki z wiszącymi ludźmi. Wtedy to zobaczyłem, że na każdej szubienicy powieszonych jest po 12 więźniów. Wydaje mi się, że na ziemi koło każdego powieszonego stały stołeczki. Odcięliśmy z linek tych 24 powieszonych więźniów. Następnie na

polecenie wachmana musieliśmy zwłoki zamordowanych przenieść na przygotowanych już tam noszach koło wykopanego dołu. Kiedy skończyliśmy przenoszenie zwłok odciętych z szubienicy, zobaczyłem, jak w kierunku szubienic prowadzona jest dalsza grupa więźniów, którzy pod szubienicę podchodzili sami. Kto wiązał pętlę dla tej grupy, nie wiem. Zaledwie zdążyliśmy rozebrać zwłoki pierwszych 24 powieszonych więźniów, kiedy wachman zabrał nas znad dołu i poprowadził w pobliże szubienicy. Po raz drugi zobaczyłem na każdej szubienicy wiszących na pętlach po 12 więźniów, a więc w tej drugiej partii powieszonych zostało znów 24 Polaków. Tych zamordowanych zwłoki także musieliśmy odciąć z linek i przenieść nad dół, rozebrać i włożyć do dołu. Kiedy zwłoki wszystkich 48 więźniów powieszonych przez Niemców znajdowały się już w dole, to oficer gestapo o nieznanym mi nazwisku, obserwujący naszą grupę, wydał nam po niemiecku polecenie, abyśmy leżącym już w dole zabitym pościągali z rąk obrączki złote i w ogóle wszystką biżuterię, jaką mieli przy sobie, a nadto byśmy każdemu trupowi rozwierali szczęki i ściągali złote zęby, koronki i mostki ze złota. Polecenie oficera gestapo przetłumaczył nam wachman. Do tej pracy dano nam obcęg i nimi wrywaliśmy złoto z ust tych zabitych, którzy posiadali w uzębieniu złoto. Ściągając to złoto z trupów, rzucaliśmy je do góry do rąk stojących nad dołem wachmanów i gestapowców, a jeden z oficerów gestapo składał to wszystko na białą chusteczkę, jaką trzymał na otwartej dłoni”. Świadek wymaga słowa wyjaśnienia, świadek mówi o dwóch szubienicach. W rzeczywistości była to szubienica, która składała się z... nie było dwóch szubienic, była jedna, która miała po prostu trzy nogi i ona sprawiała wrażenie, jak byłyby to dwie szubienice stojące obok siebie. Była to długa szubienica, na których oni jednorazowo wieszali 19-20 więźniów. Stała na górcie. Ja z przekazów rodzinnych, choć nie wiem skąd one się wzięły, ja tych relacji nie znalazłem nigdzie w dokumentach, wiem, że pradziadka katowano w ten sposób, że był powieszony nogami do góry, głową w dół i że puszczano na niego psy. Nie wiem dokładnie, kiedy moja rodzina dowiedziała się o tym, że mój pradziadek został zamordowany w Forcie, ale musiało być to dosyć szybko, dlatego że ta lista osób, które zostały zamordowane w Forcie, dosyć szybko była znana mieszkańcom Nowego Miasta i okolic. Kilka osób, które były więźniami Fortu, przeżyły i po wojnie te informacje o więźniach przeniosły. Między innymi te relacje pana Suwińskiego z Nasielska i innych świadków. To były osoby, które przeżyły Fort, przeżyły obozy koncentracyjne i wróciły po wojnie do domów.

Dorota Grzechocińska: Rodzina wiedziała, że Wacław został przywieziony z Działdowa do Fortu III?

Piotr Jeżółkowski: Rodzina nie wiedziała o tym, że Wacław najpierw trafił do obozu w Działdowie, a później do Fortu III. Te informacje uzyskałem już z Instytutu Pamięci Narodowej, który po zrobionej

kwerendzie przekazał mi dokumenty i tam te daty w karcie osobowej gestapo mojego pradziadka się pojawiają.

Dorota Grzechocińska: Kiedy po raz pierwszy odwiedziłeś Fort?

Piotr Jeżółkowski: To trochę kompromitujące, dlatego że byłem pierwszy raz w Forcie dopiero w 2017 roku. Zresztą to jest bardzo specyficzna sytuacja związana z Fortem. On tuż po wojnie został zamknięty, ponieważ zajęło go wojsko na cele magazynowe. I on trochę tak ze świadomości wszystkich osób został wymazany jako miejsce, do którego w ogóle można by było przyjść, coś zobaczyć, odwiedzić. To było miejsce zamknięte, niedostępne. Ja mieszkałem przez wiele lat, od dziecka w Nasielsku, kilkanaście kilometrów stąd. Ale mam też kolegów, którzy pochodzili z Pomiechówka. Nikt z dzieci, nikt z dorosłych w zasadzie nie mówił na temat Fortu, na temat tego bestialstwa, które tutaj miało miejsce. Trochę tak jakby zapadł w niepamięć wszystkich. I teraz dość często wszyscy się licytują, czy to jest najbardziej zapomniana katownia, czy są jeszcze inne bardziej zapomniane i kto bardziej na ten temat zapomniał. To kompletnie nie ma znaczenia, kto i ile o tym wszystkim nie pamiętał. Wszyscy jednakowo i łącznie, i każdy z osobna, żeśmy o tym zapomnieli. I teraz trzeba przywracać pamięć. I ja się cieszę, że w końcu miałem możliwość stawienia się tu. Aczkolwiek, jak widać po moich reakcjach do dnia dzisiejszego, siedząc w tych murach, nie jestem w stanie opanować emocji, nad którymi wydaje mi się, że dość dobrze panuję.

Dorota Grzechocińska: Kiedy przyszedłeś tutaj po raz pierwszy, to co najbardziej tobą wstrząsnęło?

Piotr Jeżółkowski: Najbardziej wstrząsnęła mną ta ścieżka, która prowadzi od wyjścia z budynku koszar, w których teraz siedzimy, na górkę. Jakoś wizualizowałem sobie tysiące razy tę drogę, którą pokonywał mój pradziadek idąc stąd na górkę, gdzie była ta szubienica. I nie wiem dlaczego jakoś to miejsce wewnątrz, te lochy, te ciemne pomieszczenia bez okien, jakoś one tak nie przykuły mojej uwagi, jak ta droga stąd do tej szubienicy. Nawet jak byłem pierwszego dnia, to wziąłem sobie kamień z tej ścieżki i mam go do dziś w domu. Nie wiedziałem wtedy, czy to nie jest moja jedyna wizyta w Forcie, jakie będą losy Fortu, to był 2017 rok. Czy będzie można tu jeszcze kiedyś przyjść? Jakoś uznałem, że ważne jest dla mnie, żeby ten kamień, po którym szedł, wszyscy oni chodzili, żeby go ze sobą zabrać.

Dorota Grzechocińska: Jak śmierć Wacława wpłynęła na życie rodziny, jego nieobecność, brak?

Piotr Jeżółkowski: Moja prababcia miała to szczęście, że miała braci, którzy się nią zajęli, otoczyli ją opieką w czasie wojny pod nieobecność jej męża. Synowie, czyli mój dziadek i jego brat, byli

kilkunastoletnimi chłopcami, więc tak naprawdę nie byli w stanie zapewnić matce ani bezpieczeństwa, ani jakichkolwiek pieniędzy. Nie było w ogóle takiego problemu, nie było takiej potrzeby dlatego, że bracia jej we wszystkim pomagali. Po wojnie mój dziadek, tak jak jego ojciec, został nauczycielem i przez całe swoje dorosłe życie uczył w szkole w Sochocinie, która jest kilka kilometrów od Nowego Miasta. Drugi syn wyjechał do Warszawy i osiedlił się tutaj razem z matką i do śmierci już przebywał w Warszawie, chociaż do domu w Karolinowie, do tego rodzinnego domu wracali w zasadzie na każde wakacje i spędzali tam zawsze przynajmniej dwa miesiące w roku. W tym starym domu z czasów wojny.

Dorota Grzechocińska: Dlaczego ty, dlaczego ty się stałeś depozytariuszem? Dlaczego tutaj tak często wracasz?

Piotr Jeżółkowski: Przede wszystkim mam sobie za złe, że to wszystko, te wszystkie badanie losów przodków, mojego pradziadka, badanie losów tego miejsca i tych wszystkich innych osób, które tu zostały zamordowane, że do tego doszło tak późno. Cały czas sobie wyrzucam, że wszystko powinno być zrobione przeze mnie wcześniej, kiedy żył jeszcze mój dziadek, kiedy żyły inne osoby, które mogłyby dużo więcej informacji na ten temat przekazać. Ale jakoś wtedy, kiedy pojawiłem się w Forcie po raz pierwszy, jakoś wiedziałem, że to miejsce pozostanie we mnie już na zawsze. To znaczy ten taki potworny kontrast pomiędzy tymi lochami zimnymi, ciemnymi. Pamiętającymi wszystko murami, tym otoczeniem, gdzie ptaki śpiewają, gdzie kwiaty kwitną. Te mury jakoś mnie wciągają do środka, nie pozwalają mi zapomnieć o tym, co tu miało miejsce. One jakoś z jednej strony powodują, że aż w środku gotuję się cały, kiedy myślę o tym okrucieństwie, o tym bestialstwie, które tu miało miejsce. Ale z drugiej strony jakoś ciągle myślę o tym, żeby o tych wszystkich osobach, które tutaj straciły życie, które tutaj cierpiały, żeby ciągle o nich mówić, żeby ich przywracać do życia, żeby przywracać ich imiona, nazwiska, żeby ich wspominać, żeby te ostatnie kroki, jak mojego pradziadka, tak i wszystkich innych odtwarzać, żeby o nich pamiętać, żeby te napisy na tych murach, które są tu w środku, żeby je odczytywać, żeby za każdym tym nazwiskiem, za każdą datą postawić konkretnego człowieka i konkretne wydarzenia. Kiedyś użyłem takiego określenia, że ten Fort stawia jakieś piętno, ale jeśli chodzi o mnie, to na pewno. Jest we mnie trochę taka złość na samego siebie, że to wszystko się dzieje tak późno, że te wszystkie losy, mojego pradziadka i losy innych osób, które tu były dopiero teraz, z taką dodatkową siłą odkrywam. Z drugiej strony dobrze, że to się dzieje.

Dorota Grzechocińska: Jak doszło do powstania fundacji, skąd pomysł? Co ciebie skłoniło? Czy to był taki impuls, czy to było coś, co nosiłeś długo w sercu?

Piotr Jeżółkowski: Jesienią 2017 roku Gminny Ośrodek Kultury w Pomiechówku zorganizował taką wizytę w Forcie, na którą udało mi się zapisać razem z moim ojcem i moją siostrą. Dzięki temu, że mój kolega z ław szkolnych, Czarek Brzozowski, ma brata, który mieszka tu w okolicach, i powiedział: "Słuchaj, brat mi powiedział, że można wejść do Fortu III w Pomiechówku. Wiem, że zawsze chciałeś, wiem, że się zawsze tym interesowałeś". Zapisałem się na tworzoną specjalną listę. Przyjechałem z kolegą właśnie Czarkiem, z ojcem, z moją siostrą. W grupie 40 osób weszliśmy do Fortu. Spotkanie, tę wizytę prowadził Piotr Oleńczak. To był ten pierwszy raz, kiedy byłem w Forcie. Podczas tego całego spotkania Piotr opowiadał z takim zaangażowaniem na temat tego, co tu się działo. Pokazywał wszystkie miejsca, odwołując się do kilku książek, które się na ten temat pojawiły, do publikacji Marka Frankowskiego, do swojej książki, do książki do Archiwum Ringelbluma, do kilku filmików krótkich, które gdzieś w internecie krążą, do paru zdjęć, które można znaleźć w internecie. Ja po tym spotkaniu, na którym były też inne rodziny więźniów, miałem takie przekonanie, że gdybym chciał teraz gdzieś znaleźć jakieś jedno miejsce, w którym te wszystkie informacje dotyczące Fortu są zgromadzone, gdybym chciał zobaczyć w jednym miejscu zgromadzone zdjęcia, te artykuły, na które się Piotr powoływał, te książki, o których mówił, gdybym miał możliwość porozmawiania z innymi rodzinami, to tak naprawdę nie ma tego. Nie mam gdzie się odwołać, nie mam gdzie zajrzeć. I pamiętam, jak po spotkaniu wsiadłem już do samochodu, ale miałem wydrukowaną kartę osobową gestapo, którą z IPN-u dostałem. I już wsiadłem do samochodu, usiadłem, po czym powiedziałem do swojej siostry i do mojego ojca: "Słuchajcie, to ja wrócę jeszcze na chwilę, porozmawiam z tym panem", wtedy dla mnie jeszcze panem Piotrem. I pokazałem Piotrowi Oleńczakowi tę kartę osobową gestapo. Mówię: "Proszę zobaczyć, mam tego rodzaju wspomnienia". Zainteresował się, powiedział: "Proszę do mnie napisać, nawiążemy kontakt, postaram się pomóc, może coś wspólnie ustalimy o pana pradiadku". Rozstaliśmy się. Ja oczywiście wysłałem tego maila do Piotra, nawiązaliśmy w ten sposób kontakt, ale cały czas chodziło mi po głowie to, że przecież oprócz mnie były inne rodziny na tym spotkaniu. Inni też mieli jakieś dokumenty, inni też mieli jakieś wspomnienia i tak naprawdę z tymi wspomnieniami w swoich własnych teczkach, w swoich własnych samochodach gdzieś odjechali. Oni wszyscy też z tymi swoimi teczkami gdzieś odjechali, z tymi swoimi informacjami o przodkach i w sposób bezpowrotny utraciłem możliwość nawiązania z nimi kontaktu. Chodziło mi to przez kilkanaście dni po głowie cały czas, co by tu zrobić, aż w końcu pomyślałem, a gdyby powołać fundację, jakąś organizację wokół której można byłoby zgromadzić i wszystkie osoby, które są zainteresowane Fortem i rodziny, które są zainteresowane Fortem, stworzyć stronę internetową, na której byłyby umieszczane informacje na temat publikacji, na temat artykułów, może filmy, które by się pojawiły, może jakieś wydarzenia związane z Fortem. Poprosiłem o krótkie spotkanie Piotra Oleńczaka. Pamiętam spotkaliśmy

się w restauracji, na kawie, mówię: "Słuchaj, a może powołałbym do życia taką fundację, może byś pomógł, może byś razem ze mną pociągnął". To zgodził się bardzo chętnie. Zapytałem swojego kolegę Czarka, który zapisał mnie na to spotkanie w Forcie. "Słuchaj Czarku, trzeba wykonać trochę takiej pracy społecznie, której trzeba poświęcić trochę czasu, trochę energii. Czy chcesz?". Z radością się zgodził. I w ten sposób w listopadzie powstała fundacja, została zarejestrowana i od grudnia 2017 roku intensywnie działa. Największym moim marzeniem było to, żeby stworzyć bazę więźniów Fortu, gdzie można by było w jednym miejscu gromadzić informację o więźniach rozsianą po wielkiej ilości książek, która dotyczy głównie Mazowsza Północnego, okresu okupacji czy historii poszczególnych miast na Mazowszu. Bo jak szukałem informacji na temat Fortu, to informacji na temat poszczególnych osób, które do tego Fortu trafiły jest mnóstwo, ale są rozsiane po masie książek, masie artykułów. I tak cały czas myślałem o tym, że gdyby było jakieś narzędzie, że jakby była jakaś strona, gdyby była jakaś baza, do której można by było wpisać, którą można by było aktualizować, gdzie można by było jakieś zdjęcia umieścić. I w marcu 2018 roku uruchomiliśmy stronę internetową z bazą więźniów, którą można uzupełniać. Ja do tej współpracy w ramach fundacji wciągnąłem, chociaż to złe słowo, bo nikogo nie trzeba było specjalnie zachęcać, po prostu moja siostra się natychmiast włączyła. Włączyły się też dwie moje koleżanki z pracy, Ania Wysocka i Angelika Kamont. Każdą wolną chwilę przeznaczając temu, żeby do tej bazy, którą mamy, wpisywać kolejne informacje o więźniach. Później nawiązaliśmy współpracę z Instytutem Pamięci Narodowej, z panią Dorotą Grzechocińską i z panem Januszem Piwowarem, którzy umożliwili nam uzyskanie ogromnej ilości informacji na temat więźniów, które mogliśmy potem w tej bazie internetowej umieścić. Potem nawiązaliśmy współpracę z Polskim Czerwonym Krzyżem, odwiedziliśmy Żydowski Instytut Historyczny i można powiedzieć, że każda instytucja, do której trafialiśmy, okazywało się, że z wielką ochotą pomoże, udostępni wszystko, co ma. Kiedyś powiedziałem, że mamy do czynienia z taką dobrą wolą rozproszoną, która była i rzeczywiście ona taka była. Wszyscy chcieli coś zrobić wokół Fortu. Wszyscy, którzy tu byli, widzieli potrzebę zrobienia czegoś. Tylko, że potrzeba było jakiegoś takiego punktu zapalnego, jakiejś takiej iskiej, która by to wszystko zapaliła. I mam wrażenie, że ten pomysł stworzenia fundacji, pomysł stworzenia strony internetowej, pomysł zgromadzenia wokół niej rodzin więźniów, wyszukiwania rodzin więźniów, zbierania zdjęć i wspomnień ludzi, że to właśnie był ten moment i tak to się zaczęło. A dziś jest o tyle ważny, zupełnie nowy dzień dla nas, że wczoraj podpisaliśmy z Instytutem Pamięci Narodowej umowę o współpracy, na mocy której będziemy w sposób dużo prostszy i bardziej zorganizowany wzajemnie pracowali nad tym, żeby ta baza więźniów się budowała. I od wczoraj to już nie jest baza więźniów fundacji, tylko to jest baza więźniów fundacji i Instytutu Pamięci Narodowej, więc wiele sobie po tej współpracy obiecujemy. I wierzę, że teraz jeszcze szybciej ta baza będzie się uzupełniała. Chociaż

jak na pracę kilku osób, które poświęcają temu czas we wszystkich wolnych chwilach, ponad 1500 osób wpisanych do bazy, ponad 5 tysięcy zdjęć, które tam się znajduje, które dotyczą Fortu i dotyczą więźniów, to moim zdaniem i tak jest dosyć dobre osiągnięcie.

Dorota Grzechocińska: Ty prowadzisz statystykę, kto odwiedza stronę fundacji, skąd są te osoby?

Piotr Jeżółkowski: Tak, to jest jedna z rzeczy, którą się bardzo interesuję. To znaczy prowadzenie tej bazy więźniów oznacza też ciągłe poszukiwanie rodzin, z którymi można byłoby się skontaktować. Rodziny mogą dotrzeć do nas w ten sposób, że odwiedzają Fort i otrzymują nasze ulotki. Czasem przez swoich znajomych dostają informacje na temat tego, że istnieje nasza fundacja. Bardzo często zdarza się, że osoba, która się z nami spotka, podpowiada nam, kto jeszcze jest w jakiś sposób związany z Fortem. Jak się ukazują kolejne publikacje, zdarza się... szczególnie publikacje w internecie, zdarza się, że osoby trafiają na naszą stronę i przez to się z nami kontaktują. Ale ja też w ramach badania tego, kto z jakich źródeł trafia na naszą stronę internetową, wiem, że naszą stronę odwiedzają osoby zarówno z Polski, jak i Stanów Zjednoczonych, Izraela, Brazylii, Niemiec, ostatnio pojawiły się jakieś wejścia z Irlandii, z Chin. A to jest o tyle fascynujące, że strona jest tylko w języku polskim, więc każdy, kto trafi przez nazwę "Fort III Pomiechówek", musi skorzystać z jakiegoś automatycznego tłumacza typu Google, który tłumaczy mu tę treść, która tam jest zawarta. I tak właśnie niektórzy robią. Ostatnio jeden z przedstawicieli rodzin żydowskich, który się ze mną skontaktował, właśnie opowiadał, że wprowadził nie ma strony internetowej, ale on znalazł nazwisko bliskiej osoby w ten sposób, że po prostu przekleja sobie treść i to jest tłumaczone. Za chwilę nasza strona będzie na pewno miała kolejne wersje językowe, będzie coraz bogatsza i będzie coraz więcej w niej danych, ale potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

Dorota Grzechocińska: Ja wiem, że ty osobiście spotykasz się z rodzinami więźniów. Co tobie te spotkania dają? Które z tych spotkań takie największe wrażenie na tobie zrobiło?

Piotr Jeżółkowski: Spotykam się z rodzinami więźniów w zasadzie od samego początku, kiedy powstała fundacja i chętnie robię to osobiście. Mam wrażenie, że jak się spotykam z każdą z tych osób, to jest tak jak spotkanie się z jakimś przyjacielem albo spotkanie się z ciocią, babcią, dziadkiem. Po prostu bliskim jakimś, o którym możemy porozmawiać w części na temat wspólnych przeżyć naszych bliskich. To jest to przekleństwo, o którym wcześniej mówiłem, tego Fortu. On jakoś pochłania, ale też wciąga i łączy ludzi, dlatego że ci, których bliscy byli w Forcie, mam wrażenie, że w sposób szczególnie łatwy nawiązują kontakt. A ja jeszcze mam takie dziwne zdarzenie, że lista osób, którą stworzyła zamordowana 31 maja 1943 roku, jest to lista osób, z której bardzo wiele rodzin do mnie trafiło. Więc ja się spotkałem z kilkoma

rodzinami osób, których bliscy zostali zamordowani w tej samej egzekucji, w której został zamordowany mój pradziadek. I bardzo często w czasie tych rozmów staje pomiędzy nami takie niewypowiedziane słowo "Oni obaj obok siebie tam szli. Obok siebie umierali, razem zostali pochowani". To jest taki jakiś przedziwny, magiczny łącznik. A ja też spotykając się z tymi ludźmi, mam takie wrażenie, jakbym łączył kolejne elementy jakiejś wielkiej układanki, która się samo układa i jest coraz większa, coraz ciekawsza, a jednocześnie, która łączy coraz więcej ludzi. Poza tym te osoby, z którymi się spotykam, dosyć często są osobami, które już są w pewnym wieku. On się natychmiast gubi podczas naszej rozmowy. Bardzo często te osoby chcą, żebyśmy przechodzili ze sobą na "ty", żebyśmy się zwracali do siebie po imieniu. Jakaś wytwarza się błyskawicznie taka bliskość. Myślę, że to ta świadomość wspólnego cierpienia naszych bliskich, ta świadomość wspólna istnienia tego potwornego miejsca i jakaś taka dobra wola, żeby o tym wszystkim mówić i przekazywać te informacje kolejnym osobom.

Dorota Grzechocińska: A twojej rodzinie, potomków Wacława, mówiłeś, że w twojej rodzinie nie za dużo rozmawiano na ten temat. Co twoja działalność, co fundacja znaczy teraz dla twojej rodziny? Czy ty spotkasz się z akceptacją?

Piotr Jeżółkowski: W mojej rodzinie jest bardzo specyficzna sytuacja, jeśli chodzi o mówienie o przodkach. Mój ojciec miał dwóch dziadków. Jeden dziadek był w Armii Krajowej, Wacław, ten, który zginął w Forcie III w Pomiechówku, a drugi jego dziadek brał udział w wolnie bolszewickiej i jako szeregowy żołnierz dostał krzyż Virtuti Militari za bohaterstwo, które okazał w bitwie pod Świniuchami. Ja mam wrażenie, że ta świadomość, że jeden dziadek jest żołnierzem Armii Krajowej, a drugi otrzymuje najwyższe wojskowe odznaczenie za wojnę z bolszewikami, że to spowodowało obawy u moich dziadków, żeby mówić na ten temat. Ja pamiętam, jak w szafie u moich dziadków leżała zawsze legitymacja do krzyża Virtuti Militari, tylko z szarfą, ponieważ krzyż został przez wojska sowieckie skradziony podczas wojny, chociaż był ukryty w doniczce i na dnie doniczki, to został znaleziony i ukradziony. Ja pamiętam też tę informację o moim pradziadku Wacławie, ale nie, że był żołnierzem Armii Krajowej. Zawsze się w mojej rodzinie mówiło, że prowadził tajne komplety, był nauczycielem i dlatego został zamordowany. Ja myślę, że to była jakaś taka troska głęboka, żeby nie mówić na ten temat, która przez te pokolenie spowodowała to, że w rodzinie bardzo mało się mówiło o przodkach. Można powiedzieć, że tę taką znowę milczenia, która miała miejsce, dopiero ja przełamiałem. Ja dotarłem do dokumentów w IPN-ie, zacząłem zbierać coraz więcej informacji na temat przodków, jednego i drugiego dziadka, i kolejnych. I od tego momentu wszystko tak jakby się otworzyło. Mój tata wynalazł wszystkie możliwe dokumenty, które były związane ze swoim dziadkiem, ze swoim ojcem. Notatki odręczne, kartki

z kalendarza, które były przechowywane, świadectwa. Moja siostra natychmiast włączyła się też w pracę naszej fundacji. Ona sama w ciągu tego okresu czasu wpisała ponad tysiąc więźniów do bazy, tylko w wolnym czasie. Więc można powiedzieć, że znowu zadziałał ten element, takiej iskiej, która to wszystko rozpała. I teraz bardzo często i na ten temat rozmawiamy i zastanawiamy się, gdzie jeszcze można by było jakieś informacje odnaleźć. I na jakichś spotkaniach rodzinnych coraz częściej o tym wszystkim mówimy. Ale myślę, że do tego potrzebne było odkrycie po prostu pewnych elementów tej prawdy, czyli dotarcie do pewnych dokumentów, które potwierdzają to, czego wszyscy się bali, o czym wszyscy myśleli. I to, że minęły te czasy, kiedy wszyscy się tego bali, żeby o tym mówić.

Dorota Grzechocińska: Czyli Fort taki przeklęty, on jest takim też czynnikiem jednoczącym, też takim pozwalającym jakby przywrócić godność tym ludziom, którzy... ale też jakby dowartościować te rodziny, które cierpiały.

Piotr Jeżółkowski: I to jest właśnie ten fenomen, o którym cały czas mówię. To jest właśnie ten fenomen, że to jest potworne i przerażające miejsce, które jednak w chwili obecnej buduje. Wokół tego robią się w tej chwili dobre rzeczy. Więc mamy z jednej strony te lochy, z drugiej tę zieleń na zewnątrz. Z jednej strony mamy te potworne napisy powypisywane na ścianach, mówiące o bestialstwie, jakie tu miało miejsce. A z drugiej strony mamy rodziny, które chcą wspominać swoich bliskich. Więc to jest jakiś fenomen, którego ja nie potrafię zrozumieć. Na przykład na komputerze mam jako wyświetlającą się stronę Fort III w Pomiechówku. Zdjęcie, które zrobiłem tutaj jesienią z tą drogą, która prowadzi na górkę. Przecież wydaje się, że to jest coś paradoksalnego. Miejsce kaźni, żeby sobie wyświetlać na komputerze, ale ja jednak nie odbieram tego miejsca jako wyłącznie miejsca kaźni. To jest rodzaj świadectwa, ale też rodzaj takiego obowiązku, który należy wykonać w stosunku do tych ludzi, którzy tutaj byli. My po prostu jesteśmy winni tym ludziom, żeby o tym mówić. Jesteśmy winni o tym, żeby przywracać ich pamięć. Ale jednocześnie powinniśmy wokół tego się jednoczyć, gromadzić i wspierać. I to się dzieje.

Dorota Grzechocińska: Byłeś w Instytucie Pamięci Narodowej w archiwum. Widziałeś kartotekę, dotykałeś karty twojego dziadka. Jakie to jest uczucie mieć w ręku taki dokument?

Piotr Jeżółkowski: Bycie w Focie III w Pomiechówku to jak dotknięcie bestii. To jest jak zmierzenie się z bestialstwem. Wzięcie w dłoń karty osobowej mojego pradziadka to jest trochę, jak witanie się z nim, jak nawiązywanie jakiejś takiej magicznej więzi. To jest jakby przywracanie z powrotem jego obecności w sposób taki fizyczny. Ja z jednej strony mogę sobie wyobrażać, że to karta gestapo, którą dotykałem w Instytucie Pamięci Narodowej. To był dokument, z którym mieli do czynienia wachmani, gestapowcy,

oprawcy, zwierzęta. Ale z drugiej strony, jak widzę, że jest tam mowa o moim pradziadku, gdzie jest wymieniony jego pseudonim, że są wymienione jakieś losy, czuję jakbym patrzył do tej samej książki, do której on spoglądał. Czuję jakbyśmy stawali się częścią tej samej opowieści, jakbyśmy się jakoś w sposób magiczny łączyli ze sobą. To paradoksalnie nie ma charakteru cierpienia. Sam się sobie dziwię, że w tak emocjonalny sposób opowiadam o tym, ale może to te lochy, w których siedzimy. Jak dotykam, jak czytam, jak szukam informacji o nich, ja się cieszę z każdej informacji, którą uzyskam. Ja się cieszę z każdego dnia, który mogę rozszyfrować, w którym coś się z moim pradziadkiem działo. Mam wrażenie i często mówię mojej siostrze, używamy oboje tego określenia, jak gdzieś na coś trafimy, jak coś znajdziemy, że „Wędrowiec” z góry się uśmiecha, ale rzeczywiście mamy takie wrażenie, że za każdym razem, nie tylko jeśli chodzi o naszego pradziadka, za każdym razem, kiedy znajdziemy jakąś informację o więźniu, kiedy znajdziemy jakąś dodatkową notatkę, jak wpisujemy, jak uzyskujemy jakieś zdjęcie, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, mamy wrażenie, że tych ludzi się wskrzesza do życia, tak jakby z tej ilości osób zamordowanych, z tych trupów, z tych ciał, nagle wyłaniają się normalni żyjący ludzie ze swoimi pragnieniami, rodzinami, z dziećmi, które do tej pory o nich pamiętają, z pamiątkami, które po nich zostały. To jest taka masa zdumiewających i w części sprzecznych ze sobą uczuć, że aż ciężko to wytłumaczyć. To tak jak ten śpiew ptaków, kiedy siedzisz w lochu.

Dorota Grzechocińska: Wszyscy myślimy o przyszłości tego miejsca. Jak ty ją sobie wyobrażasz?

Piotr Jeżółkowski: Ja myślę, że nie ma innego sposobu, może to nieładne słowo, ale zagospodarowania tego miejsca, zrobienia czegokolwiek z tym miejscem, zrobienie tutaj muzeum. To jest miejsce, w którym cały czas jeszcze znajdują się szczątki pomordowanych więźniów. To jest miejsce, w którym przez kilka lat jeszcze będą trwały prace ekshumacyjne prowadzone przez Instytut Pamięci Narodowej. To jest miejsce, w którym już znajdują się miejsca, w których pochowano ekshumowane szczątki. To są lochy, które cały czas trzeba jeszcze zbadać. Jeszcze do dziś w drugiej części pomieszczeń, w których siedzimy, znajdują się ściany działowe, którymi są przedzielone dalsze części, dalsze te komory więzienne. Trzeba to rozbić, trzeba tam zajrzeć, trzeba to zbadać. Trzeba napisy wyrte na ścianach wszystkie zidentyfikować. Trzeba każdym podziemnym korytarzem przejść, trzeba spisać i znaleźć wszystko, co tam jest ukryte. A potem niemożliwe jest, żeby to w jakikolwiek sposób komercyjny wykorzystywać. To jest po prostu rodzaj więzienia, cmentarza, miejsca pamięci, świętego miejsca dla rodzin, zabytku, również architektury. Wszak zbudowany w XIX wieku jeszcze za cara obiekt. To jest tylko kwestia tego, kiedy to się wydarzy, moim zdaniem, ale kierunek jest absolutnie tylko jeden. Tutaj musi powstać muzeum.

Dorota Grzechocińska: Czyli tych zaniedbań mamy dużo odnośnie upamiętnienia tego miejsca? Kto się powinien zajmować tak naprawdę, czy to, że to tak naprawdę fundacja, czy miejscowi ludzie, czy rodziny, że to one tak pamiętały o tym, że to one nie dały temu miejscu zapomnieć i właśnie zagospodarować go w sposób właściwy?

Piotr Jeżółkowski: Myślę, że to miejsce przy całym tym elemencie zapomnienia o nim miało trochę szczęścia. To znaczy szczęściem tego miejsca jest to, że wykorzystywane było wyłącznie jako skład amunicji, że te naturalne położenie i naturalny sposób, w jaki ono jest wykonane, ono predysponowało do tego, żeby wykorzystywać to na to, żeby składować tutaj tylko amunicję. I przez to, przez co ono nie zostało do dzisiaj w żaden sposób zniszczone. To, że współpracujący z nami, zresztą w fundacji, Piotr Skonieczny, który był ostatnim komendantem Fortu III w Pomiechówku, tego składu amunicji, zadbał o to, żeby ten obiekt przetrwał w takim stanie, w jakim on jest obecnie, to oczywiście też jest jego zasługa. I tak naprawdę dzisiaj nie powinniśmy się zastanawiać, kto bardziej zapomniał o tym miejscu. Wszyscy żeśmy zapomnieli. My żeśmy zapomnieli jako rodziny. Władze zapomniały, Kościół zapomniał, instytucje państwowe zapomniały. Wszyscy zapomnieli, wszyscy jednakowo i każdy boleśnie. I nie ma sensu się zastanawiać, dlaczego tak się stało. Teraz trzeba się tylko zastanawiać, kto powinien się za to wziąć, żeby to miejsce uzyskało rangę, na jaką zasługuje. Z jednej strony to są badania historyczne i te są w toku i tutaj na pewno to dzieło będzie kontynuowane, ale z drugiej strony to jest kwestia ogromnych nakładów finansowych, które by trzeba było ponieść, żeby to miejsce należycie zabezpieczyć, żeby to miejsce należycie oczyścić z tej roślinności, która tutaj w sposób dziki i nieuporządkowany rośnie, żeby to należycie chronić, ogrodzić i żeby w dalszej kolejności wykonywać takie prace, żeby one służyły nie tylko odtworzeniu tego, w jaki sposób to wyglądało, ale chociaż utrzymaniu w takim, w jakim ono jest, bo ono w tej chwili niszczeje. Myślę, że to jest budżet, z którym żadna lokalna jednostka, typu gmina, sobie nie poradzi. To powinny być działania o charakterze państwowym, ale szczebla wojewódzkiego, krajowego. Muzeum Wojska Polskiego, Prezydent Rzeczypospolitej. Myślę, że to są tego rodzaju instytucje, które musiałyby się zaangażować w to, żeby zebrać odpowiednie środki, żeby to miejsce w szybki i racjonalny sposób przywrócić do takiego stanu, żeby można było mówić o tym, że ono jest godnym miejscem upamiętniającym ofiary, które tutaj straciły swoje życie. A musimy pamiętać, że tutaj leży cały przekrój naszego społeczeństwa. Tu leżą chłopci okoliczni, tu leżą duchowni, to jest miejsce kaźni ludności żydowskiej, tu zostali zamordowani posłowie na sejm, tu zostali zamordowani nauczyciele, oficerowie Wojska Polskiego, przedstawiciele państwa podziemnego, wszyscy. Wszyscy więc jednakowo powinni być zainteresowani, żeby to miejsce odpowiednio upamiętnić.